

Jan Rokita: Lone Ranger

W ostatni poniedziałek przysłuchiwałem się transmitowanej przez BBC debacie w Izbie Gmin nad brytyjskim stanowiskiem względem wojny perskiej, która ogarnęła niemal cały Bliski i Środkowy Wschód. I przyznam, że moje wrażenie było dość nietypowe. Była to bowiem debata toczona w parlamencie kraju, który z pewnością nie jest przyjacielem, ani sojusznikiem Ameryki, ale nie jest też w gruncie rzeczy jej wrogiem.

Kraju, w którym nie ma wprawdzie zgody co do tego, jak winno się potraktować tę wojnę z perspektywy brytyjskich interesów, ale też nie ma wcale czytelnego konfliktu politycznego na tym tle, ani jasno zdefiniowanych stanowisk. Kraju, w którym w zasadzie wszyscy uważają Iran i jego agresywny teokratyczny reżim za straszną zakałę i niebezpieczeństwo dla świata, ale niemal wszyscy z najwyższą niechęcią i odrazą traktują jakąkolwiek próbę zmiany owego reżimu, zwłaszcza gdy podejmowana jest ona przez Amerykę, jakby nie było – powiązaną z Anglią nie tylko aliansem militarnym, ale także silnymi więzami ekonomii i kultury.

Taki właśnie ton owej debacie nadał przede wszystkim swą wprowadzającą mową premier Keir Starmer, który z jednej strony zaklinał się, iż jego rząd kategorycznie odrzucił wszelkie sugestie udziału w amerykańsko-izraelskiej próbie „zmiany reżimu” w Teheranie, oczywiście bezprawnej i sprzecznej z zasadami, w jakie

święcie wierzy sam premier i jego kraj, by zaraz potem oznajmić, że Wielka Brytania już dzień później jednak weszła do tej wojny, ale nie dlatego, że poczuła się związana jakimiś więzami z USA, ale z poczucia solidarności z ostrzelanymi przez Iran odległymi i obcymi kulturowo państwami arabskimi. Ten ostatni argument wydał mi się szczególnie dziwaczny, gdyż sprawiał wrażenie, jakby Brytania w gruncie rzeczy przestała ufać własnej zdolności rozpoznania swych narodowych interesów. W jednym z lewicowych dzienników londyńskich przeczytałem parę godzin później złośliwe, ale celne porównanie logiki brytyjskiego premiera z logiką nastolatka, który podejmuje wiele starań, aby uniknąć poboru do wojska, ale w końcu stwierdza, że ma wolny weekend, z którym nie wie co zrobić, więc ochotniczo zaciąga się na wojnę. W każdym razie moje wrażenie po tej debacie w Izbie Gmin było takie, że wybuch wojny perskiej miał dla Wielkiej Brytanii tylko ten skutek, że wpędził ją w zakłopotanie, dezorientację, konfuzję.

Ale brytyjski stan ducha nie jest chyba odosobniony, bliska jest mu w gruncie rzeczy cała demokratyczna Europa. Jej kluczowi polityczni przywódcy w pierwszych godzinach wojny sprawiali takie wrażenie, jakby byli w jakiś sposób obrażeni na Amerykę, iż ta śmie rozpoczynać wojnę bez porozumienia z nimi, a nawet – w przypadku Berlina i Paryża, święcie przecież wierzących w swą mocarstwową rolę – bez powiadomienia o swoich planach. Oliwy do ognia dołał jeszcze szef polskiego MSZ, przyznając publicznie, iż Warszawa otrzymała takie powiadomienie. Tak więc Niemcy i Francuzi niczego nie wiedzieli, zaś Anglicy – wiedzieli, ale za to odmówili Ameryce prawa do wykorzystania ich baz na Diego Garcia i w Fairford, zmieniając tę decyzję zaraz na następny dzień. Polityczne wygibasy przywódców Francji i Niemiec w ciągu następnych dni unaoczniają podobne co w Anglii zakłopotanie panujące w tych krajach. Po części tłumaczyć to można stanem europejskiej opinii publicznej, której zmasowana

propaganda ostatnich lat, zewsząd się wylewająca, restytuowała w zachodniej części kontynentu czający się tam zawsze antyamerykanizm, zaś u nas – w Europie Środka sztucznie wyhodowała go praktycznie od zera. Teraz więc, gdy trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, po czyjej stronie jesteśmy w tej wojnie, przywódcy boją się własnym obywatelom prosto i jasno powiedzieć, że Trump jest przyjacielem, zaś zabity właśnie mułła Chamenei był wrogiem naszego świata. I kuglują coś swoimi słowami, dla jeszcze większego pogłębienia i tak panującego w Europie politycznego zamętu.

Polityczna dezorientacja widocznie rozciąga się także poza demokratyczną Europę. Gdy idzie o Rosję, to uderzająca jest słabość i bezsilność Putina, połączona z niemal kompletnym oderwaniem od rzeczywistości serwowanych Moskalom komentarzy tamtejszych mediów i blogosfery. Typowa w tej mierze jest czołówka internetowej „Prawdy” z pierwszego dnia po wybuchu wojny, zapowiadająca ni mniej ni więcej... „nieodwracalny upadek Stanów Zjednoczonych” w wyniku wojny perskiej. Z Kremla płyną współczujące kondolencje po „zamordowaniu wielkiego przywódcy” mułły Chameneiego, zaś z moskiewskiego MSZ zapewnienia o niezmiennym zaangażowaniu w budowę świata „opartego na praworządności, szacunku i równowadze interesów”. Jeśli uświadomić sobie, iż jest to wszystko reakcją na potężny zbrojny atak na jedynego przyjaciela Rosji na Bliskim i Środkowym Wschodzie i dostawcę dronów bombardujących Ukrainę – to zdumiewać musi rosyjska niezdolność do choćby symbolicznego „kiwnięcia palcem” w jego obronie. Ale Kreml – to dziś nie tylko dojmujące poczucie bezsilności, ale przede wszystkim najzupełniej zrozumiały stan zamętu i konfuzji. Przecież to właśnie władca Rosji od lat głosi wielką pochwałę tzw. „wielobiegunowego świata”, którego istotą miała być swoboda mocarstw w użyciu siły wtedy, gdy jest to konieczne dla ich interesów. No i teraz właśnie Moskale doświadczają swego smutku własnych spełniających się marzeń o takim świecie, gdy na Ukrainie nie potrafią nijak rozstrzygnąć o wojnie, w której

ugrzeźli od czterech lat, a zarazem muszą bezsilnie patrzeć, jak Trump sprawnie likwiduje ich ostatnich sojuszników w różnych częściach świata, czyniąc z Rosji odosobniony i izolowany kraj, wydany wcześniej czy później na łup imperialnych interesów komunistycznych Chin. A zdesperowana kremlowska propaganda może już tylko karmić Moskali kompletnie kontrfaktyczną wiarą w następujący ponoć upadek Ameryki.

Ta biorąca się z oczywistego resentymentu, jawnie sprzeczna z faktami i rozumem wiara w słabość i upadek Ameryki nie jest zresztą fenomenem specyficznym rosyjskim. Wie o tym dobrze w Polsce każdy, kto czyta i słucha tzw. „ekspertów od geopolityki”, na których jest ostatnio w naszym kraju wyjątkowy urodzaj. Zauważyłem nawet, że ich zasięgi i prestiż w sieci wyraźnie rośnie, kiedy na najdziwniejsze sposoby, z reguły bardzo myślowo wyrafinowane, dowodzą, że w czasie gdy pod prezydenturą Trumpa Ameryka na najróżniejszych polach zyskuje skutecznie posłuch i wpływ, nieporównywalny z nieodległą jeszcze przeszłością, wykazują – dokładnie tak samo jak teraz moskiewska „Prawda” – „nieodwracalny upadek Stanów Zjednoczonych”. Temu zjawisku warto zresztą poświęcić odrębnie głębszy namysł, zwłaszcza, gdy idzie o jego źródła na gruncie polskim. Tutaj idzie mi tylko o to, by zaznaczyć, iż jest ono także skutkiem zakłopotania, dezorientacji i konfuzji, jakie wywołuje amerykańska polityka. I tak naprawdę, trudno się temu dziwić, skoro Trump wpędza w polityczne paradoksy władców w najróżniejszych częściach świata.

Spójrzmy w dzisiejszej sytuacji na kraje arabskie, zwłaszcza na konserwatywne monarchie Półwyspu Arabskiego. Podobnie jak Europa, potrzebują one dla swego bezpieczeństwa obecności i sojuszu z Ameryką, i podobnie jak Europa nie są wcale uszczęśliwione tą

zrozumiałą dobrze dla nich koniecznością. W szczególności teraz, w obliczu wojny z wrogim Iranem, strasznie im nie na rękę, że Trump de facto wciągnął je w wielką wojnę po stronie Izraela, i to jeszcze krótko po okrutnych doświadczeniach postępowania Żydów z Arabami w Strefie Gazy. Ale cóż mają robić, skoro polityczny spryt Trumpa sprawił, że to Ameryka i Izrael wyruszyły wprawdzie na wojnę z Iranem, ale perskie rakiety i drony spadły w efekcie masowo nie gdzie indziej, tylko właśnie na kraje arabskie! Chcąc nie chcąc, bąkając coś tam pod nosem z niezadowolenia, nie mają innego wyjścia, jak zabrać się za wojowanie z Persami w interesie bezpieczeństwa i potęgi państwa żydowskiego. Czyż można się dziwić, że saudyjski książę, albo jeszcze bardziej katarski emir muszą zgrzytać zębami po cichu w swoich pałacach? Ale też trzeba przyznać, że publicznie postępują o wiele bardziej roztropnie i logicznie, niżli miotana resentymentem Europa.

Jest w końcu najistotniejszy i najbardziej wrażliwy politycznie obszar zakłopotania, dezorientacji i konfuzji obecną wojną Trumpa: jest nim sama Ameryka, w tym zwłaszcza alt-prawicowa Ameryka spod znaku MAGA. Symboliczną figurą tego fenomenu jest dziś wiceprezydent J.D. Vance – w rządzie USA polityk najmocniej identyfikowany z religijno-nacjonalistycznymi nastrojami alt-prawicowej Ameryki. Jak się ogląda teraz na ekranie telewizora wiceprezydenta, który pod nieobecność w stolicy Trumpa, zarządzającego wojną ze swego klubu golfowego na Florydzie, kieruje z Waszyngtonu drugim sztabem wojennym, trudno nie przypomnieć sobie z pewną ironią nie tak dawnych, motywowanych ideowo zaklęć Vance'a wypowiedzianych przeciw podejmowaniu wojny z Iranem. W 2024 roku, tym samym, w którym obejmował posadę w Białym Domu, Vance mówił: „W naszym interesie przede wszystkim leży unikanie wojny z Iranem, gdyż to byłoby ogromne rozproszenie zasobów i rzecz bardzo niekorzystna dla naszego kraju”. Ta argumentacja Vance'a ma akurat charakter czysto strategiczny, ale

przecież głęboka motywacja tego polityka brała się z ideowej tradycji izolacjonizmu, święcie wierzącego, iż zwykli Amerykanie tracą tylko na każdorazowym mocniejszym wejściu Ameryki w świat. Vance, a wraz z nim ruch MAGA, musi dziś połykać swój język, gdyż przyjmując pozycję wiceprezydenta uznał, iż to do Trumpa należy ostateczna ocena tego, co służy, a co nie służy interesom Ameryki.

Dlatego najpoważniejszy kłopot Trumpa z tą wojną nie tkwi wcale w Iranie, Arabii, Europie, ani w prowadzonych działaniach wojennych. Ameryka, nauczona już tego, że na Bliskim Wschodzie nie wolno angażować się w żadne „budowanie demokracji”, albo też w politykę „building nation”, poradzi sobie w tej wojnie, mając pod bokiem zaangażowany na sto procent Izrael, oraz skonfundowane nieco – co prawda – monarchie arabskie i wiecznie rozeźloną, ale nie mającą wyjścia Europę. Potężny polityczny kłopot, jaki wziął sobie teraz na głowę Trump to Amerykanie, którzy nie lubią tej, ani żadnej innej wojny Trumpa. Obojętne, czy to pod wpływem natrętnie sączonej nienawiści do samej osoby prezydenta, czy też za sprawą millenarystycznej, alt-prawicowej wiary w mityczne szczęście, jakie stałoby się udziałem Ameryki odizolowanej od złego i zdeprawowanego świata. Polityczna wielkość Trumpa polega na tym, że niczym legendarny Lone Ranger – Jeździec Znikąd, w gruncie rzeczy samotnie, na własną rękę i ku niezrozumieniu świata, próbuje zaprowadzić ład i sprawiedliwość. Zdezorientowanego Vance’a mógł zmusić do zjedzenia własnego języka, czyniąc go swoim zastępcą w Białym Domu. Czy jednak vance’owskiej transformacji potrafi poddać również tak samo zdezorientowanych Amerykanów?

Jan Rokita

fot. Alex Kuhn / ArtService / Forum

Przeczytaj również: „Z podbieszczadzkiej wsi” – felietony Jana Rokity w Teologii Politycznej